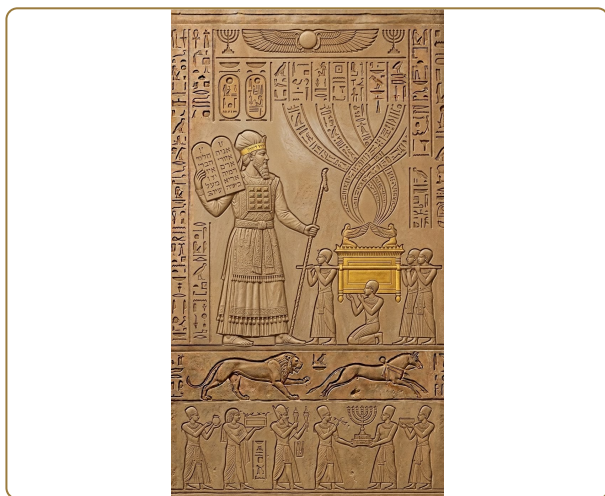


MOJŻESZ

TOM 3

PRAWA RĘKA BOGA



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

Tom 4

Ziemia Obiecana

(w przygotowaniu)

*I przemówił Pan do Mojżesza twarzą w twarz,
jak się rozmawia z przyjacielem.*

Wj 33,11

Copyright © Marek Migąła, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

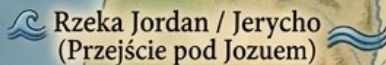
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

Prawa Ręka Boga jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.

MAPA GEOGRAFICZNO-HISTORYCZNA EXODUSU IZRAELITÓW

[KANAAN / ZIEMIA OBIECANA]




Bitwa pod Edrei:
 Og
 (Król Baszanu)

Góra Nebo
(Śmierć Mojżesza)

TRANSJORDANIA

 Bitwa pod Jahas:
Sihon (Król Amorytów)

MOAB

EDOM
(Gościniec Królewski
zablokowany)

Okrażenie Edomu i Moabu

Pętla tułaczki po Pustyni Paran

 Bunt 12
Zwiadowców

KADESZ-BARNEA
(38 Lat Tułaczki)

 Bitwa pod Chormą (I)

 **Góra Hor**
(Śmierć Aarona)

 **GÓRA SYNAJ / HOREB**
(Dekalog, Złoty Cielec, Przybytek)

Rafidim: Bitwa z Amalekitami

Pustynia Sin

SPIS TREŚCI

Słowo od Autora	7
Dramatis Personae	9
Prolog — Siódme niebo	13
<i>Goszen — noc po ostatniej audiencji</i>	
Rozdział I — Palec Boży.....	22
<i>Egipt — laska i wąż, krew, żaby, komary; magowie przegrywają z palcem Boga</i>	
Rozdział II — Noc pierworodnych.....	38
<i>Egipt — od much do ciemności; krzyk o północy i znak na drzwiach</i>	
Rozdział III — Wyjście.....	71
<i>Goszen i pustynia — ostatnia noc w Egipcie, marsz, pierwsze dni</i>	
Rozdział IV — Bileam	90
<i>Petor nad Rzeką — widzący, którego świat postawił naprzeciw Mojżesza</i>	
Rozdział V — Przez pustynię ku morzu	105
<i>Marsz, Miriam widzi przyszłość, Pi-Hachiot, przejście przez morze</i>	
Rozdział VI — Morze Czerwone	117
<i>Pustynia Szur i Morze Trzciny — pościg, przejście, ocalenie</i>	
Rozdział VII — Oręż i manna	138
<i>Pustynia Szur i Sin — pierwsze tygodnie wolności</i>	
Rozdział VIII — Amalek	153
<i>Refidim — Amalek atakuje ogon, bitwa, uniesione ręce</i>	
Rozdział IX — Jetro	189
<i>Pustynia Synaj — teść przyjeżdża, rada Jetry, powrót Sefory, zaproszenie Hobaba</i>	
Rozdział X — Synaj	213

Rozdział XI — Prawo234

Góra Synaj — rozprawa z aniołami, Dekalog, cień u podnóża

Rozdział XII — Złoty cielec256

Góra Synaj — żądanie boga, odlew cielca, człowiek z mieszaniny, zejście

Rozdział XIII — Miecz przez obóz.....275

Obóz pod Synajem — miecz Lewitów, Aaron, drugie tablice, twarz Mojżesza

Rozdział XIV — Przybytek.....298

Synaj — druga góra, litery Besalela, Mieszkanie dla Ognia, zejście Chwały

Rozdział XV — Groby Pożądania313

Siedemdziesięciu starszych, Eldad i Medad, Mojżesz i ciężar przywództwa

Rozdział XVI — Kocioł334

Petor — świat pęka: głód, posłowie Egiptu, kłótnia królów Kanaanu i lud, którego nie ma na żadnej liście

Rozdział XVII — Miriam i Aaron w Chazerot352

Spór o Kuszytkę, trąd Miriam, pięć słów modlitwy i kobieta przy studni

Rozdział XVIII — Zwiadowcy.....365

Kadesz-Barnea — dwunastu zwiadowców, Hebron, raport, wyrok czterdziestu lat

Rozdział XIX — Chorma383

Wzgórza Negebu — próba wejścia bez Arki, klęska pod Chormą, plaga na zwiadowców, dwie noce po wyroku

Epilog — Nad Wielką Rzeką.....402

Petor — widzący czyta wyrok jako swoją szansę i rozstawia figury nadchodzących wojen

SŁOWO OD AUTORA

Tom trzeci to powrót do Egiptu.

Mojżesz ma osiemdziesiąt lat, kiedy staje przed faraonem po raz pierwszy po czterdziestu latach ucieczki. Egipt jest tym samym Egiptem — te same pałace, ci sami kapłani, ta sama machina władzy — ale człowiek, który do niego wraca, nie jest tym samym człowiekiem. Czterdzieści lat pustyni zmieniło go w sposób, którego faraon nie rozumie i nie potrafi przewidzieć.

Ta historia jest o tym, czego nie widać w ikonografii.

W malowidłach i rzeźbach Mojżesz trzyma laskę i rozdziela morze. W filmach wznosi ręce i spada ogień. Ale między tymi obrazami jest człowiek, który przez dziesięć plag musiał wracać przed faraona — wiedząc, że poprzednia plaga nie wystarczyła, że kolejna też może nie wystarczyć, że każde „nie” faraona kosztuje Egipcjanina i Izraelitę coś, czego nikt potem nie zwróci.

Człowiek, który po przejściu przez Morze Czerwone stanął na drugim brzegu z ludem, który od trzech pokoleń nie znał wolności i nie wiedział, co z nią zrobić.

Człowiek, który stał między Bogiem a Izraelem — i kiedy Izrael odwrócił się od Boga przy złotym cielcu, stanął między nimi oboma, prosząc jednego, żeby darował drugiemu.

Marek Migala

2026

DRAMATIS PERSONAE

Główne postacie sagi

RODZINA MOJŻESZA

Mojżesz	Prorok i prawodawca Izraela. Ma osiemdziesiąt lat, kiedy wraca do Egiptu. Wyprowadza lud z niewoli — przez dziesięć plag i Morze Czerwone — i staje z nim pod górą Synaj.
----------------	---

Aaron	Starszy brat Mojżesza, pierwszy arcykapłan Izraela. Głos Mojżesza przed faraonem, teraz głos ludu przed Bogiem.
--------------	---

Miriam	Siostra Mojżesza i Aarona, prorokini. Prowadziła kobiety w pieśni po przejściu przez morze.
---------------	---

Sefora	Żona Mojżesza, córka Jetry, kapłana Midianu. Matka Gerszoma i Eliezera.
---------------	---

Gerszom	Starszy syn Mojżesza i Sefory, urodzony w Midianie.
----------------	---

Eliezer	Młodszy syn Mojżesza i Sefory.
----------------	--------------------------------

NASTĘPCY I WODZOWIE

Jozue	Syn Nuna, prawnuk Józefa, z pokolenia Efraima. Dowódca wojskowy Izraela, wyznaczony następca Mojżesza. Towarzyszył mu na Synaju.
--------------	--

Kaleb	Syn Jefunnego, Kenizyta z pokolenia Judy. Jeden z dwóch zwiadowców (obok Jozuego), którzy zachowali wiarę po powrocie z Kanaanu. Otrzymał Hebron.
--------------	---

LUD I DORADCY

Jetro (Reuel)	Kapłan Midianu, teść Mojżesza. Doradza mu w sprawach sądownictwa przy Synaju — system tysięcy, setek i dziesiątek.
----------------------	--

Hobab	Syn Jetry, Midianita. Zna każde wejście i każde wyjście z tej pustyni. Zgadza się prowadzić Izraela przez pustynię.
--------------	---

ANTAGONIŚCI

Bileam, syn Beora	Widzący z Petor nad Wielką Rzeką, największy prorok narodów — lustrzane przeciwieństwo Mojżesza. Ślepy na jedno oko, kulawy, jeździ na oślicy. Sprzedaje królom klątwy; jego mocy nie dostaje się za darmo. Doradził niegdyś faraonowi topienie hebrajskich chłopców, więc jest wrogiem Mojżesza od jego narodzin.
--------------------------	--

Jannes i Jambres	Synowie Bileama, arcymagowie faraona. Rzucają laski, które stają się wężami, i powtarzają
-------------------------	---

pierwsze plagi, aż zawodzą przy komarach — „to palec Boży”.

Agag

Wódz Amalekitów. Tytuł, nie imię — bierze go każdy kolejny wódz. Człowiek, który nie uderza w czoło.

KRÓLOWIE ZZA PUSTYNI

Sichon

Król Amorytów, pan Cheszbonu, który odebrał to miasto Moabowi mieczem. Rosły i groźny, lecz krwi zwykłej — nowy król, który tron wziął mieczem, a nie odziedziczył.

Og

Król Baszanu, olbrzym — ostatni z królewskiego rodu Refaitów, ostatni król-gigant Zajordanii. Sześćdziesiąt miast i łożo z żelaza, którego nie udźwignąłby wół.

Balak

Król Moabu — nie wojownik i nie olbrzym, lecz tchórz, który wierzy w klątwy bardziej niż we własne wojsko.

Achiram

Król Aradu, Kananejczyk z Negebu. Obserwuje Izrael z gór i czeka na jego pierwszy błąd.

EGIPT

Nebwenenef

Najwyższy kapłan Amona. Świadek plag z drugiej strony — człowiek wiary zderzonej z mocą, której nie rozumie.

Nachtmin	Generał armii egipskiej, dowodzi pościgiem do Morza Czerwonego.
-----------------	---

Baki	Egipcjanin, drobny urzędnik dworu — oczy czytelnika w Egipcie przez dziesięć plag i noc pierworodnych.
-------------	--

ŚWIAT NADPRZYRODZONY

Mastema	Księżę wrogości, postawiony nad Egiptem — urząd mu został, wierność nie. Stoi za twardością faraona.
----------------	--

Samael	Największy ze strąconych — ten, który powiedział <i>wstąpię</i> , i ten, który nie chciał się pokłonić glinie. Imię znaczy „jad Boży”. Oskarżyciel przed Tronem: nie kłamie, dobiera prawdę tak, by zabijała.
---------------	--

Michał, Gabriel, Zagzagel	Trzej aniołowie służebni. Michał — archanioł Izraela; Gabriel — „Bóg jest moją mocą”; Zagzagel — pisarz synów nieba.
----------------------------------	---



PROLOG — Siódme niebo

Goszen — noc po ostatniej audycji

Szaleniec

— Nazwał mnie szaleńcem. — Głos mu się nie łamał, ale coś pod głosem drżało. — Powiedział, że jestem starcem, który uwierzył we własne sztuczki, że łaska i kilka błyskotek mącą mi rozum i że wyobrażam sobie, że mogę nakłonić najpotężniejszego człowieka pod słońcem, żeby wypuścił prawie dwa miliony rąk do pracy, bo tak mi się przyśniło w Midianie.

Powiedział to spokojnie. To było najgorsze — nie krzyczał. Faraonowie krzyczą, kiedy się boją. Merenptah patrzył na Mojżesza jak na coś, co trzeba było wcześniej rozdeptać.

— A potem kazał podwoić normę. Cegły bez słomy, Panie. Ludzie mają teraz sami zbierać ściernisko po polach, żeby mieć czym wiązać glinę, i

wyrabiać tyle samo cegieł co przedtem. Nadzorcy biją tych, którzy nie nadążają, a nie nadąża prawie nikt.

Zamknął oczy. Zobaczył twarze — nie wyobrażone, zapamiętane z popołudnia. Starszyna ludu czekała na niego przy studni, kiedy wracał z pałacu, i wiedziała już wszystko, zanim otworzył usta. Jeden z nich, Elicur, spojrzał na Mojżesza tak, że tego spojrzenia nie dało się opisać inaczej niż jako wyrok.

Niech Pan wejrzy na was i osądzi, żeście narazili nas na nienawiść u faraona i sług jego, żeście im dali miecz do ręki, aby nas zabijali.

— Oni mieli rację, że to powiedzieli — szepnął Mojżesz. — Przyszedłem w Twoim imieniu i przyniosłem im tylko cięższe jarzmo. Powiedziałeś mi, że ich wybawisz, a ja widzę tylko więcej krwi na ich plecach.

Bogowie Egiptu

Przypomniawszy sobie ostatnie zdanie faraona, to, które wypowiedział już od progu, kiedy Mojżesz i Aaron byli odprawiani przez straż.

— Egipt ma swoich bogów od czasu, kiedy Nil po raz pierwszy wylał na pola — powiedział Merenptah, nie odwracając się. — Amon-Re rodzi słońce każdego ranka od tysiąca pokoleń. Ozyrys sądzi zmarłych. Hapi daje wodę. Nie ma tu miejsca dla boga niewolników, który nie ma nawet posągu.

Mojżesz otworzył oczy i spojrzał w ciemność namiotu tak, jakby w niej było coś widzialnego.

— Słyszałeś go, Panie. Powiedział, że nie ma dla Ciebie miejsca w tym kraju.

Wtedy przyszła odpowiedź.

Nie był to głos z zewnątrz, jak wiatr czy grzmot. Był głębiej niż słuch, w miejscu, gdzie Mojżesz nie miał żadnej ściany, żeby się przed nim zamknąć.

Nie ma miejsca dla Mnie w Egipcie, powiada. Zobaczysz, ile miejsca dla niego zostanie, kiedy z nim skończę.

Mojżesz poczuł, jak włosy na przedramionach stają mu dęba, chociaż w namiocie nie było wiatru.

Obalę wszystkich bogów Egiptu, jednego po drugim, i pokażę ich takimi, jakimi są — pustymi imionami wyrzeźbionymi w kamieniu, bez tchu, bez mocy, bez życia. Amon-Re nie ocali swojego słońca. Hapi nie ocali swojej rzeki. Ozyrys nie ocali nawet siebie samego przed tym, co nadchodzi. Poznają wtedy — faraon, jego kapłani, jego lud i twój lud, Mojżeszu — że wszelka moc, jaka kiedykolwiek istniała pod niebem, wychodzi ode Mnie i że to, co ludzie nazywają bogami, jest niczym, jeśli Ja nie pozwolę im być czymkolwiek. Ciebie uczyniłem swoim narzędziem, żeby cała ludzkość, od Nilu po najdalsze morza, poznała jedną rzecz na zawsze: Ja Jestem, i nie ma przede Mną żadnego innego.

Mojżesz osunął się z kolan na dłonie, czoło niemal przy ziemi.

— Jestem tylko człowiekiem, który jąka się przed tronem — powiedział w glinę pod sobą. — Jak mam być narzędziem czegoś takiego?

Narzędzie nie musi rozumieć ręki, która je trzyma. Musi tylko być ostre wtedy, kiedy ręka tnije.

Nagroda

Cisza, która nastąpiła potem, była inna niż wszystkie dotychczasowe. Mojżesz poczuł, że coś w powietrzu namiotu gęstnieje, tak jak gęstniało na

Horebie, tylko dziesięć razy mocniej, sto razy — jakby cała komnata wstrzymała oddech.

Służyłeś Mi wiernie, odkąd zawróciłeś od krzewu. Pokażę ci teraz, w nagrodę, miejsce, do którego trafi każdy, kto Mi wiernie służy do końca. Nie po to, żebyś to zrozumiał rozumem — nikt tego nie rozumie rozumem. Po to, żebyś to niósł w ciele, kiedy przyjdzie ci mówić do faraona po raz kolejny i wydawać ci się będzie, że nikt nigdzie nie słucha.

Mojżesz nie zdążył odpowiedzieć. Poczuł, jak coś w nim — nie ciało, coś pod ciałem, to samo, co czuł jako ka przy krzewie, tylko teraz bez granic — zaczyna się unosić.

Wniebowstąpienie

Pierwsza sfera

Namiot zniknął pierwszy. Potem zniknął Goszen, potem Egipt, potem gwiazdy, które Mojżesz znał z pustynnych nocy — nie dlatego, że odleciał od nich, ale dlatego, że przestały być tym, do czego przywykł. Znalazł się w warstwie światła, która nie miała koloru, tylko intensywność, i zrozumiał — nie wiedział skąd, wiedział po prostu — że to jest pierwsza z siedmiu sfer, najbliższa ziemi, najgęstsza, najbardziej podobna do świata, który zostawił.

Przez tę sferę i przez sześć następnych po niej przechodziły kształty. Nie miały twarzy, jakie znał, ale miały coś, co rozpoznawał jako czucie — cień gniewu w jednym miejscu, cień żalu w innym, jak gdyby ta warstwa istnienia była zbudowana wprost z tego, czego ludzie na dole nie potrafili z siebie wyrzucić. Poczuł, przechodząc, ciężar. Nie swój. Cudzy, tysięcy istnień,

które utknęły tutaj, bo niosły w sobie za dużo tego, co ziemskie, żeby wznieść się wyżej.

Kolejna sfera była jaśniejsza i lżejsza, i tak przez wszystkie siedem — z każdą warstwą mniej cienia, mniej ciężaru, więcej czegoś, co Mojżesz mógł nazwać tylko ciszą o innej jakości niż cisza namiotu. Nie brak dźwięku. Obecność czegoś, co nie potrzebowało dźwięku, żeby być pełne.

Na granicy siódmej krainy Duatu obejrzał się — nie oczami, czymś, co teraz służyło mu za oczy — i zobaczył ziemię daleko w dole, malutką, błyszczącą i kruchą, jak ziarno piasku, które przez pomyłkę wzięto za cały świat.

Bramy niebios

Za siódmą krainą Duatu była granica, a za granicą zaczynało się coś innego w samej swojej naturze, nie tylko stopniem jasności. Mojżesz poczuł, jak przechodzi przez nią, tak jak przechodzi się przez wodę, wchodząc do rzeki — opór, potem przyjęcie.

Pierwsze niebo było jak sad o zmierzchu, kiedy wszystko pachnie i nic nie jest ostre. Drugie było jak głęboka, spokojna woda, w której światło nie gasło, tylko rozchodziło się warstwami. Trzecie, czwarte, piąte — Mojżesz przechodził przez nie i z każdym czuł, że coś w nim samym staje się cieńsze, przezroczystsze, jakby to, co przez całe życie nazywał sobą, było tylko grubym płaszczem, który teraz zdejmowano warstwa po warstwie.

W piątym niebie zobaczył duchy po raz pierwszy tak, jak mógł znieść ich widok — nie kształty ludzi, tylko czyste płomienie inteligencji, każdy inny, każdy nieskazitelny, poruszające się między sobą bez zderzeń, bez cienia

rywalizacji, jaką znał z każdego ludzkiego dworu, jaki widział. Rozpoznał — znowu nie wiedział skąd — że to są ci, którzy służyli wiernie do końca, oczyszczeni z każdej warstwy tego, co ciągnęło w dół.

Na ich widok Mojżeszowi zadrżały ręce, których już prawie nie czuł jako rąk. Czystość tej energii — nie miał dla niej innego słowa niż czystość, chociaż wiedział, że to słowo jest za małe — uderzała w niego jak fala uderza w skałę zbyt długo stojącą na suchym lądzie. Włosy, gdyby jeszcze miał włosy w tym stanie, stanęłyby mu dęba. Zamiast tego poczuł to jako dreszcz przechodzący przez samą istotę tego, czym teraz był.

Zapłakał. Nie wie, czy to była twarz, która płakała, czy coś głębszego, ale poczuł to jako płacz — szloch, który nie miał w sobie bólu, tylko przeogromny, miażdżący żal.

Dlaczego płaczesz, sługo mój?

— Bo widzę, jak wysoko można żyć — powiedział, albo pomyślał, albo po prostu było to prawdą w nim bez słów — a widziałem, jak nisko żyją ludzie na dole. Faraon karze mój lud dodatkową pracą za to, że odważyłem się prosić o wolność. Kapłani kłaniają się kamieniom, które nie słyszą. A tu, tu jest to, do czego mogliby dojść, i nikt im nie powiedział, jak blisko to jest.

Siódme niebo

Szóste niebo Mojżesz zapamiętał gorzej niż pozostałe — może dlatego, że to, co czuł, przestawało dać się dzielić na kolejne stopnie, tak jak fala rosnąca ku brzegowi przestaje dać się liczyć jako osobne fale. Wiedział

tylko, że światło, w którym się znajdował, było już jaśniejsze niż cokolwiek, co widział oczami ciała, a mimo to nie raniło.

Siódme niebo nie było miejscem, do którego się weszło. Było czymś, w co się wchodziło tak, jak kropla wchodzi w morze, wiedząc, że przez chwilę wciąż jest kroplą, ale już czuje, że granica się rozpuszcza.

Tutaj nie było już duchów do oglądania. Był tylko blask, tak gęsty i tak żywy, że Mojżesz — cokolwiek z niego zostało w tej postaci — poczuł, że jego istnienie zaczyna drzeć na krawędzi tego, co może znieść. Nie strach. Coś ogromniejszego niż strach, coś, co ogarniało jednocześnie grozę i zachwyt tak zupełnie, że nie dało się ich rozdzielić.

Poczuł Chwałę, zanim ujrzał jej jakikolwiek kształt — jeśli to, co przyszło potem, w ogóle miało kształt. Uderzyła w niego nie jak światło uderza w oczy, ale jak ogień uderza w suche drewno: całkowicie, bez reszty, bez pytania o zgodę. Wszystko, czym Mojżesz kiedykolwiek był — pasterz, książę, mąż, zabójca, prorok — spłonęło w jednej chwili do tego, czym był naprawdę: niczym wobec tego.

I wtedy zrozumiał, dlaczego nikt z ludzi nie mógł oglądać tej twarzy i żyć. Nie dlatego, że Bóg tego zabraniał ze złości czy zazdrości. Dlatego, że żadne stworzone ciało, żadna stworzona dusza nie miała dość miejsca w sobie, żeby pomieścić coś tak ogromnego, nie pękając jak dzban, w który wlano ocean.

Mojżesz — to, co z niego zostało — zachwiał się, jakby miał zemdleć, chociaż w tej postaci nie miał już z czego mdleć. Poczuł, jak coś go podtrzymuje, delikatnie, jak ojciec podtrzymuje dziecko, które postawiło pierwszy krok i się przewróciło.

Dosyć, sługo mój. Więcej niż to nie zniósłbyś nawet w tej postaci. Zapamiętaj to, co poczułeś, bo to jest prawda o tym, kim jestem, i prawda o tym, dokąd zmierzają ci, którzy Mi wiernie służą. Reszta jest tylko drogą.

Powrót

Zejsście było szybsze niż wstępowanie — jak kamień puszczonego z klifu spada szybciej, niż wspina się po nim człowiek. Sfera po sferze, niebo po niebie, aż Mojżesz poczuł znowu ciężar kolan na klepisku namiotu, ciężar rąk, ciężar oddechu wchodzącego i wychodzącego z płuc, które przez chwilę — nie wiedział, jak długą — nie były mu potrzebne.

Otworzył oczy. Namiot. Ciemność zwykłej, ziemskiej nocy. Nigdzie żadnego blasku, żadnego płomienia bez cienia. Tylko knot lampy dogasający w kącie i zapach oliwy.

Twarz miał mokrą. Płakał naprawdę, ciałem, i płacz jeszcze nie ustał.

Przez długi czas nie ruszał się z klęczek. Kiedy w końcu wstał, wiedział jedną rzecz z pewnością, jakiej nie miał od czasu krzewu na Horebie: cokolwiek faraon zrobi jutro, cokolwiek zrobi pojutrze, cokolwiek jeszcze wyznaczy jego ludowi w gniewie — to wszystko było tylko drogą. A na końcu drogi było to, co widział.

Wyszedł z namiotu w ciemność Goszen. Gdzieś za nim, w obozie, ktoś kaszlał przez sen, dziecko płakało i uspokajało się w ramionach matki, pies szczekał na coś, czego nie było widać. Zwyczajne, ciężkie, śmiertelne życie, dokładnie takie, jakie zostawił, wracając.

Spojrzał w niebo. Gwiazdy wyglądały teraz inaczej — nie dlatego, że się zmieniły, ale dlatego, że wiedział już, co jest za nimi, warstwa po warstwie, aż po miejsce, którego żadne oko nie mogło oglądać i żyć.

— Jutro znowu pójde do faraona — powiedział cicho do nocy. — I tym razem będę wiedział, po co.



ROZDZIAŁ I — Palec Boży

*Egipt — laska i wąż, krew, żaby, komary; magowie przegrywają z palcem
Boga*

Laska i wąż

Zaczęło się od laski — zanim spadła krew, zanim przyszły żaby, zanim Egipt nauczył się bać wschodu słońca.

Baki stał tego ranka pod ścianą sali tronowej, wśród niższych pisarzy, i widział wszystko, choć nikt nie widział jego — bo tak właśnie żyje się długo na dworze: będąc obecnym i niewidocznym zarazem. Zobaczył, jak wchodzi dwaj starcy. Jeden mówił, drugi milczał, i to milczący trzymał laskę.

Faraon patrzył na nich z tym znużeniem, jakie mają władcy wobec petentów, którzy nie rozumieją, że sprawa jest już rozstrzygnięta.

— Uczynicie znak — powiedział, nie kryjąc drwiny. — Jeśli przysyła was jakiś bóg, niech pokaże coś, czego nie umie byle kuglarz z targu. Zabawcie mnie.

Milczący starzec spojrzał na brata. Mojżesz skinął głową. I Aaron rzucił laskę na posadzkę przed tronem.

Laska nie upadła jak drewno. Wygięła się w powietrzu, zanim jeszcze dotknęła kamienia, a to, co uderzyło o posadzkę, nie było już laską: był to wąż gruby jak ludzkie ramię, który rozwinął się z sykiem, uniósł łeb na wysokość kolana i obrócił się ku tronowi.

Dworzanie cofnęli się falą. Ktoś krzyknął. Faraon nie drgnął — ale Baki, patrząc na jego dłoń zaciśniętą na poręczu, zobaczył, że knykcie pobieleły.

A potem faraon się roześmiał.

— I to wszystko? — powiedział. — Pastuch rzuca kij, a kij się wije? — Klasnął w dłonie. — Wezwać moich mędrców. Zobaczymy, czy bóg pustyni umie coś, czego nie umie Egipt.

Przyszli dwaj. Baki ich znał — znali ich wszyscy: Jannes i Jambres, arcymagowie faraona, w lamparcich skórach, z twarzami ludzi, którzy nie przegrali jeszcze niczego w życiu. Weszli spokojnie, jakby wezwano ich do rzeczy błahej — bo dla nich to była rzecz błaha.

— Widziałeś? — mruknął Jambres do brata, mierząc węża Aarona wzrokiem znawcy. — Stara sztuczka z Górnego Egiptu. Uśpić gada, usztynnić naciskiem na kark, potem obudzić. Umiem to od dziecka.

— Więc rób — powiedział Jannes.

Rzucili laski, obie — i obie stały się węzami; bo tę część bracia umieli naprawdę, a tę, której nie umieli, dorobili ci, którzy stają za takimi jak oni i

dokładają do cudzej sztuczki tyle, żeby wyglądała na moc. Dwa węże rozwinęły się na posadzce obok pierwszego, i sala odetchnęła: a więc Egipt umie to samo. A więc bóg pustyni nie jest lepszy.

Trwało to tyle, ile trwa дума.

Bo wąż Aarona ruszył — nie ku tronowi, lecz ku dwóm pozostałym. Nie walczył z nimi, nie owijał się, nie kąsał. Po prostu otworzył paszczę szerzej, niż paszcza węża otwierać się powinna, i połknął pierwszego w całości, powoli, jak połyka się coś, co już się nie broni. Potem drugiego. Sala patrzyła w ciszy, w której słyszać było tylko ten jeden dźwięk — przełykania — a kiedy było po wszystkim, na posadzce leżał jeden wąż, gruby i syty, i po dwóch pozostałych nie było śladu.

Aaron schylił się, podniósł go za ogon, i w jego dłoni wąż znów zeszywniał w łaskę.

Cisza trwała jeszcze chwilę. Potem faraon powiedział — o ćwierć tonu za głośno, a Baki wychwycił to ćwierć tonu, bo trzydzieści lat na dworze uczy słyszeć w głosie władcy to, czego władca nie chce, żeby słyszano:

— Sztuczka lepsza od waszej. Nic więcej. — Machnął ręką. — Wyprowadzić ich.

Jannes i Jambres wyszli z podniesionymi głowami. Ale na dziedzińcu, gdy nikt już nie patrzył, Jambres przystanął.

— Widziałeś, jak on to połknął? — powiedział cicho. — Bez walki. Jakby wiedział z góry, że wygra.

— To był większy wąż — odparł Jannes. — Nic więcej.

— Może — powiedział Jambres. Lecz nie brzmiał, jakby w to wierzył — i był to pierwszy raz, odkąd bracia przybyli do Egiptu, gdy któryś z nich nie brzmiał pewnie.

A w sali tronowej faraon siedział jeszcze długo, patrząc na miejsce, gdzie przed chwilą były trzy węże, a został jeden. I zatwardził serce — po raz pierwszy z wielu, bo serce, jak wszystko, twardnieje najłatwiej za pierwszym razem — i nie wypuścił ludu. To była pierwsza z jego odmów. Każda następna miała go kosztować więcej niż poprzednia; ostatnia miała go kosztować syna.

Krew — rzeka, która umarła

Baki poznawał Nil po zapachu, zanim jeszcze otworzył oczy. Mułu, ryb, wilgotnego sitowia — ten zapach budził go co rano od czterdziestu lat, tak jak budził jego ojca i ojca jego ojca. Tego ranka zapach był inny. Słodkawy. Ciężki. Kiedy wyszedł przed chatę, rzeka była czerwona od brzegu do brzegu, gęsta jak coś, co dopiero co przestało żyć.

Zanurzył czerpak. Wyciągnął go pełny — nie wody, czegoś, co lepiło się do palców i pachniało żelazem. Ryby leżały brzuchami do góry aż po zakręt rzeki, tysiące, dziesiątki tysięcy, i smród ich gnicia rozchodził się szybciej niż poranny wiatr.

Meryt, jego żona, przybiegła z dzbanem, który miała napełnić na później. Stanęła nad brzegiem i patrzyła długo, zanim się odezwała.

— Studnie — powiedziała tylko.

Kopali przez trzy dni. Woda spod ziemi też cuchnęła, ledwie nadawała się do picia, ale nadawała się. Baki widział, jak sąsiedzi kopią jeszcze

głębiej, jak dzieci płaczą z pragnienia, jak starcy, którzy pamiętali suche lata, kręcą głowami, bo to nie było jak susza. Susza była karą znaną. To było coś, co nie miało imienia.

Trzeciego dnia przyszedł Ipi.

Ipi był poborcą — zbierał należność faraona ze zbiorów, mierzył pola sznurem po każdym wylewie, wiedział co do korca, ile komu wyrosło, i brał swoje, i był w tym dokładny jak śmierć. Znał Bakiego od dwudziestu lat i przez dwadzieścia lat nie powiedział mu ani jednego dobrego słowa.

Stanął nad wykopaną studnią, zajrzał w mętną wodę i się skrzywił.

— Woda wodą — powiedział. — Rzeka wróci za tydzień. Zawsze wraca. — Popatrzył na Bakiego z góry, jak zawsze. — A podatek płacisz z tego, co było zasiane przed rzeką, nie z tego, co zostało po. Zapamiętaj sobie.

— Nie ma czym płacić — powiedział Baki. — Ryby zdechły. Woda się nie nadaje.

— To twój problem, nie faraona. — Ipi otrzepał sandał. — Bogowie się pogniewali, bogowie się prześlągają. Zawsze tak było. Kopcie głębiej i płąćcie w terminie.

I poszedł, i Baki patrzył za nim, i myślał, że są dwa rodzaje ludzi na świecie: tacy, którzy pytają, co się dzieje, i tacy, którzy pytają, kto za to zapłaci. Ipi był drugim rodzajem, i przez to spał spokojnie już wtedy, gdy inni przestali sypiać.

W pałacu wieść dotarła inaczej. Senmut, pisarz przy dworze, zapisywał na tabliczce liczby dostaw ryb dla świątyni Hapi, kiedy przybiegł posłaniec. Przez chwilę nikt w komnacie nie zrozumiał, co się stało — dopiero kiedy

kapłani Hapi, boga Nilu, wybiegli z hymnem urwanym w połowie zdania, Senmut zrozumiał, że to nie plotka z targu.

Widział, jak najstarszy z nich, człowiek, który czterdzieści lat prowadził poranne obmycia w świątyni na wyspie Elefantyna, stanął nad brzegiem i próbował dokończyć hymn — słowa, które znał lepiej niż własne imię — i nie potrafił. Głos mu się łamał w połowie każdej linijki, jakby gardło samo odmawiało wypowiedzania obietnic, którym rzeka właśnie zaprzeczyła na oczach wszystkich.

Rahotep, Najwyższy Kapłan Re w Heliopolis, przybył do pałacu tego samego popołudnia, wezwany razem z innymi. Nie okazał tego, co czuli kapłani Hapi — jego bóg był większy, dawniejszy, panował nad niebem, nie nad samą tylko rzeką, i Rahotep patrzył na czerwoną wodę z tym samym spokojem, z jakim patrzyłby na kaprys pomniejszego bóstwa, które nie dotyczyło jego świątyni. Zanotował to sobie jako ciekawostkę do rozważenia przez kapłanów niższego stopnia. Nie przyszło mu jeszcze do głowy, że będzie musiał to wspomnienie odgrzebywać za osiem uderzeń, kiedy przyjdzie kolej na jego własnego boga.

Faraon kazał sprowadzić czarowników. Ci zanurzyli swoje laski w wodzie z beczki przyniesionej z pałacowego stawu i wypowiedzieli słowa, które Senmut znał na pamięć z dziecinnych lat w świątynnej szkole — i staw też poczerwieniał, kropla po kropli, aż cała beczka cuchnęła tak samo jak rzeka.

— Widzicie — powiedział jeden z czarowników, kłaniając się nisko. — I my to potrafimy.

Merenptah patrzył na czerwoną beczkę i na czerwoną rzekę za oknem, i coś w jego twarzy — Senmut to zauważył, bo patrzył na twarz faraona częściej, niż powinien — nie było triumfem. Był to grymas człowieka, który właśnie zobaczył, że jego najlepsza odpowiedź na katastrofę to powiększenie jej o jedną beczkę.

— Serce jego było twarde — zapisał tego wieczoru Senmut, nie do końca wiedząc, dlaczego wybrał akurat te słowa. — I nie posłuchał ich, jak przepowiedział Hapi... jak przepowiedział bóg Hebrajczyków.

W Goszen Nachon zanurzył palec w wodzie ze studni, którą jego rodzina kopała od pokoleń, i nie znalazł w niej czerwieni. Nie była to woda dobra — miała w sobie coś z ciężaru tamtych dni, jakby cała ziemia wstrzymywała oddech — ale nie była krwią. Nie powiedział tego głośno sąsiadom z egipskiej strony rzeki. Nie było w tym nic do świętowania. Był tylko znak, którego nikt jeszcze nie umiał odczytać do końca, a Nachon, wnuk człowieka, który pamiętał Józefa, wiedział z doświadczenia rodu, że znaki, które przychodzą zbyt wcześnie do odczytania, kończą się zwykle krwią kogoś innego.

Żaby — noc bez snu

Przyszły o zmierzchu, najpierw jako szmer, potem jako fala. Baki zamiótł próg i po godzinie zamiatał go znowu, i po następnej godzinie znowu, aż zrozumiał, że nie ma sensu zamiatać czegoś, co przybywa szybciej niż miotła. Żaby wypełzały z umierającej rzeki tysiącami, potem dziesiątkami tysięcy — w dzbanach z wodą do picia, w piecach chlebowych, pod poduszkami, w fałdach ubrań złożonych na noc. Meryt krzyczała, znajdując je w

kołysce syna, chociaż dziecko spało spokojnie, otoczone skrzeczącym, wilgotnym pierścieniem, którego samo nie zauważało.

Tui, sąsiadka od trzech domów, przekupka, która sprzedawała na targu suszone ryby i wiedziała o wszystkim, co się działo na ulicy, wcześniej, niż samo się zdarzyło, przyszła do Meryt boso, z podkasaną szatą, brodząc przez żaby jak przez wodę.

— U ciebie w piecu też? — zapytała.

— W piecu, w dzbanach, w mące — powiedziała Meryt. — Zagniotłam ciasto rano, odwróciłam się, wróciłam — trzy w cieście.

— Kapłani mówią, że to Heqet nas błogosławi. — Tui splunęła. — Jak to jest błogosławieństwo, to ja jestem królową Punt. Widziałas, żeby błogosławieństwo wchodziło człowiekowi do garnka?

— Cicho — powiedziała Meryt. — Usłysz.

— Kto usłyszy? — Tui rozejrzała się teatralnie po podwórku pełnym skrzeczących żab. — Bogini? Niech słyszy. Niech przyjdzie i sama wyniesie te swoje święte zwierzątka z mojej sypialni, to jej podziękuję.

Baki nie odezwał się. Stał z miotłą i patrzył na sąsiadkę, i myślał, że Tui mówi głośno rzeczy, które on sam bał się pomyśleć cicho — i że ludzie tacy jak ona albo umierają pierwsi, albo przeżywają wszystkich, i nigdy nie wiadomo z góry, którzy.

Nikt w Egipcie nie spał tej nocy. Nie dało się. Chrząst pod stopami, śliskość na każdej podłodze, dźwięk — miliony małych gardeł naraz — który nie ustawał ani na chwilę.

W pałacu było gorzej, bo pałac miał więcej podłóg do zalania. Kapłani Heqet, bogini o żabiej głowie, patronki porodu i urodzaju, stali w świątyni

po kostki w swoich własnych świętych zwierzętach i nie wiedzieli, czy się kłaniać, czy uciekać. Ich zamęt był czymś więcej niż niedogodnością — Heqet była tą, która tchnęła życie w każde nowo narodzone dziecko w Egipcie, a teraz jej święty symbol wypełzał z umierającej rzeki w liczbie, która nie miała już nic wspólnego z błogosławieństwem. Jeden z młodszych kapłanów, klęcząc w wodzie sięgającej mu do łudek, szeptał do siebie pytanie, którego nie odważył się wypowiedzieć głośno: czy bogini karze Egipt jej własnym imieniem, czy ktoś inny używa jej imienia przeciwko niej, nie pytając jej o zgodę. Żadna z odpowiedzi nie dawała się znieść lepiej niż druga. Czarownicy faraona sprowadzili jeszcze więcej żab, żeby dowieść swojej mocy, i Senmut, wypisując tego dnia doniesienie, po raz pierwszy od lat służby poczuł, że pisze o czymś, co przypomina rozpacz zamaskowaną jako duma.

Merenptah wezwał Mojżesza tej samej nocy — pierwszy raz, odkąd zaczęło się to wszystko, mówił do niego bez pogardy w głosie.

— Módl się do swojego Pana — powiedział, a Senmut, stojący pod ścianą z tabliczką w rękach, usłyszał w tym głosie coś, czego wcześniej tam nie było: proszącą nutę, którą faraon próbował zamaskować tonem rozkazu. — Zabierz je, a wypuszczę wasz lud, żeby złożył ofiarę.

Żaby zniknęły nazajutrz, tak jak przyszły — nagle, wszystkie naraz. Zostały tylko stosy martwych ciałek, zgarniane na sterty, które śmierdziały przez tydzień na każdym rogu ulicy, w każdym pałacowym korytarzu. Kenamon odstawił tego dnia włócznię i wziął łopatę, bo rozkaz brzmiał, że każdy sprawny człowiek przy bramie ma sprzątać, i przez pół dnia wynosił martwe żaby z korytarza prowadzącego do sali tronowej. Żaden z mijają-

cych go dostojników nie spojrział na niego ani razu, i to było jedyne, co mu tego dnia odpowiadało.

A kiedy stosy zniknęły, zniknęła też prośba w głosie faraona. Nachon, który słyszał o tym od egipskiego handlarza przyjeżdżającego do Goszen po len, pokiwał tylko głową.

— Kiedy im lżej, serce twardnieje z powrotem — powiedział do syna. — Zapamiętaj to. To będzie się powtarzać.

Komary — pył, który ożył

Trzecia plaga nie miała w sobie nic z grozy poprzednich dwóch — dopóki człowiek nie spróbował żyć w jej środku. Pył egipskiej ziemi, ten sam pył, który leżał pod stopami od tysięcy lat, zaczął się poruszać. Nie wiatrem. Sobą. Miliony małych, gryzących owadów wstawały z gleby jak z rozerwanego worka, wpełzały w oczy, w nozdrza, pod powieki bydła i ludzi jednako.

Meryt owinęła syna płótnem od stóp do głów mimo upału, żeby uchronić skórę dziecka choć trochę, ale i tak wieczorem chłopiec drapał się do krwi.

Tym razem czarownicy faraona nie potrafili powtórzyć znaku. Senmut widział to na własne oczy — dwaj najstarsi z nich, ci, którzy poprzedniego dnia jeszcze z dumą zamieniali wodę w krew, teraz stali przed swoimi laskami, mamrotali formuły znane od dzieciństwa i nie działo się nic, prócz tego, że sami zaczęli drapać ukąszenia na własnych ramionach.

— Palec Boży to jest — powiedział w końcu Nebwenenef, najstarszy z nich, tak cicho, że Senmut ledwie usłyszał, a jednak to zdanie obiegło cały dwór, zanim minął dzień.

Kenamon usłyszał je na warcie przy bramie i przyszedł z tym do Senmuta wieczorem.

Był młody — dwadzieścia trzy lata, syn dworzanina, oficer straży pałacowej, z tych, których uczono, że porządek trzyma się na włóczyniach, a włócznie na rozkazie. Znał Senmuta od dziecka, bo skryba bywał w domu jego ojca, i przychodził do niego z pytaniami, których nie mógł zadać przełożonym.

— Co znaczy „Palec Boży” — zapytał. — Czyjego boga.

— Nie naszego — powiedział Senmut, nie podnosząc wzroku znad tabliczki.

— To postaw strażę. Zamknij granice. Znajdź tego, kto to robi, i zabij go.
— Kenamon mówił szybko, jak człowiek, który wierzy, że na każdy problem jest rozkaz. — Ja bym postawił ludzi przy każdej studni w Goszen do jutra.

Senmut odłożył rylec i popatrzył na chłopaka.

— A gdyby to nie był człowiek — zapytał. — Postawiłbyś włócznie przeciw pyłowi, który sam wstaje z ziemi?

Kenamon otworzył usta i nic nie powiedział.

Wyszedł niespokojny, i Senmut wiedział dlaczego: bo chłopakowi po raz pierwszy w życiu podsunęto pod nos coś, na co nie było rozkazu, a cały jego świat stał na tym, że rozkaz jest zawsze.

Merenptah, kiedy mu to powtórzono, nie odpowiedział nic. Odwrócił się i patrzył przez okno na miasto skracające się pod chmurą gryzącego pyłu, a Senmut, notując to milczenie tak dokładnie, jak umiał notować słowa,

pomyślał, że widzi twarz człowieka, który zaczyna rozumieć coś, czego jeszcze nie jest gotów przyznać na głos.

Rahotep stał tego dnia w tyle komnaty, dalej niż zwykle stawał, i po raz pierwszy od dziesięcioleci służył czuł coś, czego nie miał słowa, by nazwać — nie strach, jeszcze nie, ale pierwsze pęknięcie w czymś, co przez całe życie uważał za skałę pod stopami. Jeśli to naprawdę był palec obcego boga, a nie sztuczka wędrownego czarownika, to znaczyło, że istnieje moc, której jego własny bóg, władca nieba i słońca, nie potrafił ani powstrzymać, ani nawet nazwać. Rahotep odesłał tę myśl tam, gdzie odsyłał wszystkie myśli, których nie chciał jeszcze nosić — ale zauważył, ile wysiłku kosztowało go tym razem odesłanie jej dalej niż na wyciągnięcie ręki.

W Goszen komary gryzły tak samo jak wszędzie — na tę plagę i na wcześniejsze granica jeszcze nie była wyznaczona, cierpienie było wspólne — a Nachon, drapiąc własne przedramię do krwi, patrzył na to jako na coś, czego jeszcze nie potrafił nazwać ulgą, ale już nie potrafił nazwać zwykłym nieszczęściem.

Sąd nad bogami

Bo plagi nie były tym, czym wydawały się Egipcjowi. Egipt widział rzekę, która szerniała, żaby, robactwo — nieszczęścia, jakie zdarzają się krainom. Nie widział tego, co widziano z góry i z dołu naraz: że każde z tych uderzeń miało adres, i że adresem nie był faraon.

Bo nad każdą rzeczą w Egipcie ktoś stał. Nad Nilem — ten, którego czczono jako dawcę wód, a który w istocie był jednym z tych, co spadli, i przybrał imię boga, żeby przyjmować kadzidło należne komu innemu. Nad

plodnością mułu stał drugi. A nad samym prochem ziemi, po którym stąpali wszyscy, stał trzeci. Egipt myślał, że służy bogom. Służył upadłym, którzy dawno weszli w miejsce bogów, jak lokator wchodzi w pusty dom i zaczyna pobierać czynsz.

I oto pierwsze uderzenie spadło nie na wodę — na tego, który za wodą stał. Nil szerniał, a ten, co brał kadzidło jako pan rzeki, poczuł, jak kadzidło ustaje, jak jego imię przestaje znaczyć, jak lud, który przez tysiąc lat kłaniał mu się nad brzegiem, odwraca się od brzegu z obrzydzeniem. Drugie uderzenie zabrało drugiego. Trzecie — trzeciego. Jeden po drugim bogowie Egiptu, którzy nie byli bogami, tracili to, z czego żyli: strach i cześć.

Mastema patrzył na to z miejsca, z którego patrzył na wszystko — z boku, jak sędzia, który jeszcze nie wie, po której stronie zarobi. Samael patrzył inaczej: z wściekłością, bo to jego własni bracia tracili tam, na dole, swoje ołtarze.

— Powstrzymaj to — powiedział Samael. — To są nasi. Egipt jest nasz od czterystu lat.

— Egipt był wasz — poprawił go Mastema — dopóki nikt się nie upomniał. Ktoś się upomniał. — Wskazał w dół, na dwie postacie idące przez pałac faraona: starca z laską i jego brata. — On. A raczej Ten, który za nim stoi. I to jest sąd, Samaelu. Nie plaga. Sąd. Nad każdym bogiem Egiptu Bóg wydaje ten sam wyrok: *nie jesteś*.

Wysoko, tam gdzie stoją ci, co nie spadli, Michał nie mówił nic. Nie targował się jak Mastema ani nie wściekał jak Samael. Michał tylko liczył uderzenia — i znał ich liczbę, zanim spadły, bo znał wyrok, zanim go

wykonano. Wiedział też coś, czego tamci dwaj jeszcze nie chcieli przyjąć: że po bogach Egiptu przyjdzie kolej na coś większego niż Egipt, i że brama, którą sami dla siebie zatrzasnęli, wypadając kiedyś z góry, właśnie zaczyna się otwierać z powrotem — w dół, ku prochowi, ku ludziom.

Na dole, w tej samej chwili, dwaj magowie faraona rzucili laski w pył, żeby powtórzyć trzecią plagę — jak powtórzyli dwie pierwsze. I po raz pierwszy pył nie posłuchał.

Dwaj, którzy przegrali

Tej nocy dwaj magowie faraona nie spali.

Siedzieli w swojej komnacie, we dwóch, przy jednej lampie, a między nimi leżały dwie laski, którymi rano nie zdołali zrobić nic — dwa kawałki martwego drewna, choć jeszcze trzy dni wcześniej robiły się węzami na skienienie.

— Powtórzyłem krew — odezwał się Jannes, starszy, i mówił nie do brata, lecz do lampy, bo do brata nie umiał. — Powtórzyłem żaby. Widziałeś. Faraon widział. Cały dwór widział, że my też potrafimy.

— Powtórzyłeś sztuczki — powiedział Jambres. — Krew da się zrobić. Żabę da się przywołać. To rzemiosło. Ale dziś rzuciłem laskę w pył i kazałem pyłowi ożyć, jego słowami, co do jednego — i pył się nie ruszył. — Podniósł głowę. — Wiesz, co to znaczy?

Jannes nie odpowiedział, bo wiedział, a nie chciał tego powiedzieć głośno, bo rzeczy wypowiedziane głośno stają się prawdziwe.

— To znaczy — dokończył za niego Jambres — że to nie jest nasze rzemiosło. Że to w ogóle nie jest rzemiosło. Za tym starcem z laską nie stoi

żaden bóg, jakiego znamy, żadna moc, którą można kupić, uprosić albo zmusić. Stoi coś, co robi z pyłu żywe stworzenie samym słowem — tak jak na początku. Powiedziałem faraonowi w twarz: „to palec Boży”. Powiedziałem to, żeby się wykręcić. Ale, bracie... to była prawda. Pierwszy raz w życiu skłamałem, mówiąc prawdę.

Długo milczeli.

— Ojciec — powiedział wreszcie Jannes.

— Wiem.

— Ojciec musi to wiedzieć. Bileam z Petor, największy widzący od Morza do Morza, musi wiedzieć, że jest na świecie ktoś, kto umie to, czego on nie umie. Że ktoś dorównał ojcu. Albo... — Jannes nie dokończył.

— Albo go przerósł — dokończył Jambres, i to zdanie zawisło w komnacie jak zapach, którego nie da się wywietrzyć. Bo obaj wychowali się w przekonaniu, że nad ich ojcem nie ma nikogo — że Bileam jest szczytem, a dalej jest już tylko niebo. A dziś zobaczyli, że niebo zeszło na dół i chodzi po Egipcie w sandałach pasterza.

— Jedźmy do niego — powiedział Jannes. — Dziś w nocy.

— Nie dziś. — Jambres pokręcił głową. — Faraon nie wypuści swoich magów w środku wojny z bogiem; uzna to za zdradę i pośle za nami rydwany. A poza tym... — spojrzał w okno, ku Goszen, gdzie w ciemności paliły się ogniska niewolników. — Poza tym chcę zobaczyć, jak to się skończy. Chcę wiedzieć, co powiem ojcu: że przegraliśmy jedną plagę, czy że przegrał cały Egipt. Bo to nie to samo, a ojciec nie płaci za połowę wiedzy.

Jannes skinął głową. I tak postanowili: zostać do końca, cokolwiek ten koniec przyniesie, a potem — kiedy Egipt puści albo padnie — ruszyć na wschód, do Petor, do ojca, z wieścią, której żaden z nich nie chciał nieść, a którą obaj musieli ponieść. Że stał się cud. Że jest drugi. Że nad Bileamem, synem Beora, po raz pierwszy położył się cień kogoś większego — i że cień ten miał się rozciągnąć na całą resztę ich życia.